

Pod pokładem

Na morzu nikt nie usłyszy twojego wołania.
Horyzont jest nieprawdopodobnie daleko.

Sophie
Hardcastle



Sophie Hardcastle

Pod pokładem

PRZEŁOŻYŁA
Ewa Borówka



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Below Deck

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczynie: Justyna Żebrowska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Konsultacja merytoryczna: Milka Jung

Korekta: Ewa Popielarz, Justyna Żebrowska

Projekt okładki: Micaela Alcaino

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Shutterstock.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Sophie Hardcastle, 2020

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ewa Borówka, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66815-02-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/wydawnictwo.mova



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiECE.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiECE.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiECE.pl

Ciemny róż

- MAŁO ROMANTYCZNIE tak umrzeć przed trzydziestką – rzucił, patrząc na mnie skrytymi w półmroku, intensywnie czarnymi oczami. Pokręcił głową. – Szkoda by cię było.

Pamiętam, że staliśmy wtedy w moim salonie i nic nie odpowiedziałam, lecz później myślałam o tym długo, a słowo „szkoda” rozplýwało się w esy-floresy jak plama ropy. Wiedziałam, że ma rację. Ale kiedy oświadczyłam, że odejdę przed trzydziestką, zupełnie nie chodziło mi o romantyczny zryw, oklepany motyw młodej, przedwcześnie zmarłej artystki. To była raczej wiedza. Wiedza, że nad-szedł mój czas.

Umieram jako dwudziestodzieciolatka, prawie z trzydziestką na karku, bo w przededniu urodzin. Liczby dwa i dziewięć zawsze lubiłam o wiele bardziej niż trzy i zero: dwójka jest czerwona, a dziewiątka ciemnoróżowa, trójka to niepewna zieleń, a zero – czcza biel. Ale wbrew waszym przypuszczeniom nie robię tego celowo. Nie do końca.

A może jednak? Na nasz los składają się niezliczone decyzje, czyż nie?

Wzruszam ramionami. Dygoczę. Zimno tu na rufie, na przełomie dekad. Pode mną ciemność, góry lodowe zawieszona w strefie szarości. Wszystko się rozprzestrzenia. Spoglądam na Brooke: mruga, a ja się uśmiecham i bolą mnie od tego mięśnie twarzy.

Wstrzymuję oddech. Czy oddychanie to kwestia wyboru?

Nie wiem. Dalej nie wiem. Żałuję, że mi nie odpowiedziałś. Żałuję, że nie powiedziałaś mi o tylu rzeczach.

Na przykład o tym, że gdy zobaczę wreszcie zielonkawy blask, okaże się zarazem niezwykle i nijaki.

Albo że życie to ciąg słów z niepoprawnie wstawionymi znakami przestankowymi, a gdy chcesz wziąć oddech okazuje się że ktoś usunął przecinek więc, musisz nabrać powietrza właśnie wtedy a jeśli ci się nie udało to wielka szkoda już za, późno.

Maggie, szkoda, że mi nie powiedziałaś. Na morzu nikt nie dosłyszcy krzyku.

Ogród morski



Róża morską

(orphium)

UTKWIONA POMIĘDZY ŚWIATAMI wyobrażam sobie, że ziemia się kołysze. W przód, w tył, w przód, w tył.

Ale już przytomnieję, na policzku mam zaschniętą ślinę, na zębach osad, rozczepiam opuchnięte powieki i widzę słońce w bulaju ledwie metr nad moją głową. Huśta się na niebie – uświadamiam sobie, że ziemia naprawdę się kołysze. Podpieram się na łokciu. Serce mi kołaczy, jakby ktoś mnie zdzielił cegłą. Wnętrze nabiera ostrości, rozglądam się i czekam, aż coś się okaże. Na próżno. Pomieszczenie o zaokrąglonych ścianach jest niewiele szersze od łóżka, jeśli można to nazwać łóżkiem. Leżę na cienkim jak opłatek materacu, między brezentowym worem a wędką. Z zewnątrz dobiega dziwny łoskot, a gdy podnoszę wzrok, widzę, że słońce nadal się buja. Zapiera mi dech, czuję ostry ucisk w klatce piersiowej, jakby powietrze utknęło w niej na dobre. Ja pierdołę, gdzie ja jestem?

Przynajmniej jestem ubrana: mam na sobie jedwabną sukienkę, dżinsową kurtkę, dwie różowe skarpetki i jeden botek. Sięgam ręką pod sukienkę, majtki są. Na poduszce leży rozsypana zawartość torebki. Portmonetka, sprawdź. Karty i pieniądze są. Chwytam telefon, trzęsą mi się ręce. Bateria padła. „Kurwa”, mamroczę.

Zwlekam się z posłania i obok stojącego na podłodze wiadra z gąbkami odnajduję drugi botek. Na miękkich nogach gramolę się w stronę wyjścia. Uderzam głową o sufit. Co za debil zaprojektował ten dom? Jestem wysoka, ale nie aż tak. Ziemia nadal się kołysze, gdy wchodzę chwiejnie do pomieszczenia z aneksem kuchennym, składanymi piętroowymi kojami, wąskimi podłużnymi oknami i przymocowanym do podłogi stołem. Chwyając się na chybił trafił narożników i krawędzi, żeby utrzymać równowagę i ustać na nogach, posuwam się w stronę drabiny pnącej się ku odsłoniętemu niebu.

Wdrapuję się po niej, a mój wzrok dopiero po chwili przyzwyczajają się do zmiany. Światło raz i w oczy.

– O Jezu. – Słyszę nieledwie szept.

Widzę przed sobą starszego człowieka w sztormiaku i pomarańczowej włóczkowej czapce. Ma kędzierzawą brodę i ogorzałą, zaskorupiałą od soli, przebarwioną od słońca cerę. Za nim rozpościera się morze o ciemnej, lekko wzburzonej powierzchni. Wzdrygam się i kulę w sobie. Horyzont jest nieprawdopodobnie daleko.

– Dobry.

Patrzę na niego osłupiała.

Śmieje się.

– Gdzie ja jestem?

– Słucham? – pyta. – Musisz mówić głośniejsze. – Przystawia palec do ucha. – Przygłuchy.

– Gdzie ja jestem? – powtarzam, tym razem głośniejsze.

– Na Tasmanii.

U stóp mam liny nawinięte na metalowe pachołki, obok inne liny pną się po strzelistym maszcie. Mężczyzna ciągnie jedną z nich i fałdy na rozpostartym nade mną żaglu wygładzają się jak naprężona wokół kości skóra. Czuję, jak łódź napina się i nieznacznie unosi.

– Że co?

– Na Morzu Tasmana – mówi, wskazując bezkresną połać, jakbym umiała odróżnić tę wodę od jakiegokolwiek innej. – A ściślej mówiąc, na jachcie. – Opiera dłoń na pokładzie. – Nazywa się Róża Morska.

Czuję się, jakby ktoś zacisnął mi dłoń na gardle. Chyba się porzygam.

– Muszę zejść na ląd.

– Zejdiesz. Za kilka dni... jak dopłyniemy do Nowej Zelandii.

Krew odpływa mi z twarzy.

– Co?!

– Płynę do Nowej Zelandii i potrzebowałam pomocnika. Mówiłaś, że chcesz dołączyć.

– Co takiego? Kiedy tak powiedziałam?

– Wczoraj wieczorem.

Wpadam na nowo w odmęty wczorajszego alkoholu i próbuję wypatrzeć coś pod powierzchnią, cokolwiek. Mioniony wieczór to jednak ziejąca czarna dziura.

– Dlaczego pan pozwolił na coś takiego? Załatwiłam się wczoraj na amen!

Łódź unosi się na fali i opada z trzaskiem. Kłuje mnie w piersi. W przelętyku wzbiera mi żółć.

– Pan mnie w zasadzie porywa.

– Że co?

– Porywa mnie pan! Pójdzie pan siedzieć.

– Hmm – mruczy, rozsiadając się wygodnie. – Tylko jeśli ktoś się dowie... Wygląda na to, że będę musiał cię po prostu zabić.

Cofam się o pół kroku i potykam o zwiniętą linę. Upadam ciężko na plecy i tracę dech w piersi.

Starszy człowiek wybucha znienacka śmiechem, oczy giną mu między głębokimi zmarszczkami.

– Nic ci nie jest, młoda? – pyta między jednym a drugim parsknięciem.

Próbuję coś powiedzieć. Ale nie mogę.

– Obejrzyj się za siebie – mówi.

Wstaję niezgrabnie, odwracam się i widzę ład. Długą plażę, zielen upstrzoną domami, skalisty cypel, latarnię morską... Znam tę latarnię. To Barrenjoey. Sydney. Nadal jesteśmy w Sydney.

Oglądam się na mężczyznę.

– Już wiesz, gdzie jesteśmy?

Kiwam głową.

– Płyniemy do klubu żeglarskiego w Newport, muszę zostawić tam Różę na czyszczenie. Przy tym wietrze za jakąś godzinę powinniśmy być na miejscu. Podrzucę cię autem do miasta.

– Aha, teraz džentelmen... ale to niczego nie... – Dostaję napadu kaszlu, jeszcze nie odzyskałam tchu po upadku. – Pan... mnie porwał.




Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 facebook.com/wydawnictwo.mova



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059